

J. HAWTHORNE.

# Tragiczna tajemnica.

Z upoważnienia autora z angielskiego przełożył J. R.

3 (Ciąg dalszy).

— Raport pański jest ogromnie dokładny — rzekł do Slimaka — zdaje mi się jednak, że nie przemawia przeciw mojemu przypuszczeniu, iż jest to czyn kilku lekkomyślnych wyrostków, którzy zaczęli od rabunku i kradzieży, a skończyli na rozlewie krwi. Mówił pan, że listy gończe zostały już rozesłane za tymi trzema ludźmi, którzy wczoraj wieczór przyszli do gospody?

— Tak jest, tylko ich było, według mego zdania, czterech.

— Dlaczego?

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa złodzieje mieli czas na picie, plądrując szynkownię i rzeczywiście raczyli się winem — bo znalazłem na stole cztery wypróżnione szklanki. Hanier, jako porządny gospodarz, z pewnością poukładał szklanki na półce, zanim zamknął sklep.

— Może być, że przyprowadzili ze sobą czwartego. Zdaje mi się zresztą, że w całej tej sprawie ważną rolę odegrało wino i wódka.

Ślimak był innego zdania. Tajemniczość tej sprawy miała dla niego ogromny powab, któremu się poddawał.

— A choćby tam wreszcie był tylko jeden człowiek! — zawołał. — Widziano tylko jednego, a raczej cień tylko jeden. Przecież ten jeden mógł umyślnie ustawić na stole cztery szklanki, aby zmylić policję.

Inspektor gładził sobie brodę z uśmiechem.

— Aczkolwiek Ludwik Hanier był Francuzem, to jednak nie chodzi tutaj zupełnie o francuski romans. Nie należy porzucać wyjaśnień naturalnych, dopóki się nie przekonamy, że są nieprawdziwe, albo niestosowne, wtedy dopiero wejść na drogę zawiłych przypuszczeń i domysłów. Sprawa przedstawia mi się mniej więcej tak: Chłopaki bawili się cały wieczór. Pieniądze im się rozeszły, potrzebowali więcej. Przychodzi im myśl, aby splądrować gospodę Francuza, który ich przed godziną wypędził. Narzędzi nie mają pod ręką. Wysadzają więc drzwi, biorą pieniądze i zaczynają pić. Wino zaczyna działać; zabawa trwa więc w najlepsze, opryski plądrują i niszczą wszystko. Nagle na górze powstaje hałas — Francuz się obudził i nadchodzi! Droga do ucieczki mieli otwartą, ale czyż mieli się dać poznać złośliwemu obroćkrajowcowi? Wino odebrało im rozum. Postanowili więc jeszcze raz zemścić się i tak zrobili. Ludwik Hanier był wprawdzie bardzo poczciwym człowiekiem, ale własne jego wino stało się przyczyną jego śmierci.

Chociaż Ślimak nie miał odpowiedzi na to przypuszczenie inspektora, to jednak nie uważał się jeszcze za pokonanego.

— Jeżeli oni byli tak pijani — rzekł wreszcie — to dziwi mnie tylko, że mieli na tyle rozumu, aby uciec i nie pozostawić po sobie najmniejszych śladów. Bo w istocie nie mamy ani jednego szczegółu, któryby nas naprowadził na trop zbrodniarzy.

— Dlaczego nie mamy? — zawołał inspektor. — Nie zdarzyło mi się jeszcze nigdy śledzić zbrodni, przy której zbrodniarze nie pozostawiliby choć jednego śladu. Tylko umysł nasz nie jest tak bystry, byśmy ten ślad od razu spostrzegli. Nie jest to jednak dla pana nagana — mówił dalej, widząc, że Ślimak zawstydzony spuścił oczy. — Pan wypełniłeś polecenie dobrze, bardzo dobrze. Musi się pan jednak zgodzić na to, że morderstwa nie dokonano bez jakichś narzędzi.

— Tak jest, ale zbrodniarze zabrali rewolwer.

— Natomiast pozostawili co innego.

Ślimak patrzył nań z ciekawością.

— Mianowicie?

— Kulę.

— Kulę? No tak, ale...

— Gdzież ona jest?

— Prawdopodobnie w piersi zmarłego.

— Więc jest nareszcie coś, co możemy posiadać.

— I pan sądzi, że...

— Dzięki tej kuli możemy przyjść w posiadanie rewolweru.

Ślimak otworzył usta, chcąc coś odpowiedzieć, gdy wtem zapukał ktoś do drzwi. Wszedł urzędnik i położył na stole telegram.

Inspektor otworzył kopertę. Czytając depezę, gwizdnął mimowoli przez zęby.

— A to prędko idzie — rzekł. — Może ich już mamy w swym ręku.

Podał telegram Ślimakowi, który go skwapliwie wziął do ręki i zaczął czytać, co następuje:

„John H. Brady, lat 23, James Doyle, lat 30, Michał Crogan, lat 23, wszyscy przynależni do Stanów Zjednoczonych, zostali aresztowani z powodu podejrzenia o zamordowanie Haniera“.

— Więc jednak pan miał rację — rzekł Ślimak z westchnieniem.

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa — śmiał się inspektor — w takim razie tajemnicza ta sprawa zostałaby bardzo prędko i łatwo załatwiona. Jednakże taki szybki rezultat jest nadzwyczajny; każdej chwili może się jeszcze okazać, żeśmy się pomylili.

Ślimak o mało co nie krzyknął: „Spodziewam się“ — jednak się na czas jeszcze pomiarował.

— W każdym razie nie zaszkodzi, jeżeli ja się tam jeszcze raz przejdę — rzekł.

Inspektor skinął głową na znak zgody, więc Ślimak wziął kapelusz i szybko wyszedł z pokoju.

## IV.

### Błędne ogniki.

John Brady został razem z dwoma swymi przyjaciółmi aresztowany pod zarzutem zamordowania Ludwika Haniera. Pewien ze stołowników Haniera rozpoznał w nim jednego z członków tej bandy, która ubiegłego wieczora usiłowała okraść biednego szynkarza.

Tak się rzeczy miały 30 grudnia w południe. Poranne dzienniki, jakie wyszły na drugi dzień, zawierały dokładny opis aresztowania i wszystkie wyrażały w gorących słowach uznanie policji, która tak szybko zdołała ująć domniemanych morderców.

Brady został zaraz po aresztowaniu stawiony przed komisarzem.

— Czy wiesz, o co cię obwiniają? — zapytał surowy urzędnik policyjny, mierząc rzezimieszka bystrym wzrokiem.

— Wiem, panie komisarzy, ale ja jestem niewinny. Przysięgam na wszystkie świętości, że mnie niesłusznie posądzają. Ja jeszcze nigdy nikogo nie zamordowałem, a co do zamordowania Haniera, to mi się o nim ani śniło.

— Zwyczajny wykręt. Spodziewałem się, że tak będziesz mówił. Radziłbym ci jednak od razu prawdę powiedzieć — zauważył sucho komisarz.

— Panie komisarzy, w chwili spełnienia zbrodni błem co najmniej o pięć kilometrów od miejsca nieszczęsnego wypadku. W parku Madison odbywały się wczoraj wielkie wyścigi piesze z nagrodami. Poszedłem tam więc zaraz po południu i przesiedziałem całą noc w parku.

Brady chciał w ten sposób udowodnić swoje alibi. Ale komisarz mu nie wierzył. Brady, wysoki, tęg chłopak, miał wprawdzie dziecięcą prawie twarzyczkę, nie zdradzającą bynajmniej zbrodniczych namietności, ale policji znany był dobrze z tego, że obracał się w towarzystwie ludzi najgorszej sorty.

Komisarz nie dowierzał mu tembardziej, że zauważył u niego nieokreślony jakiś niepokój i zmieszanie. Prawdopodobnie był to niepokój, jaki ogarnia każdego zbrodniarza, kiedy się znajdzie nagle w ręku władzy bezpieczeństwa. Zresztą ów Francuz poznał go przecież i oświadczył stanowczo, że Brady wczoraj wieczór o godzinie dziewiątej był w gospodzie Haniera.

Brady uprzejmie obstawał przy swoim alibi, przysięgał, że jest niewinny, tak, że i w umyśle komisarza poczęły się budzić pewne wątpliwości.

Wtem zaszła jeszcze jedna okoliczność, która zdawała się winę jego potwierdzać. Matka Brady'ego, dowiedziawszy się o aresztowaniu syna, przybiegła z płaczem i krzykiem do urzędu policyjnego, a gdy ją przyprowadzono przed komisarza, zaczęła głosem, przerywanym głośnym łkaniem, mówić, że syn jej nie jest mordercą.

— Panie komisarzy, mój syn ma serce miękkie jak воск — mówiła — onby zwierzęciu nawet krzywdy nie wyrządził, a już człowieka nie potrafiłby nigdy zabić.

— Jednak są silne poszlaki, które przemawiają na jego niekorzyść — przerwał jej komisarz.

— A przecież wczoraj wieczór syn mój był jeszcze przed dziesiątą w domu, i zaraz poszedł spać. Musiał sobie podpić trochę, bo spał jak zabity do rana.

Zeznania matki i syna różniły się ogromnie. Nie można więc było wierzyć ani jednemu, ani drugiemu. W każdym razie to, co matka Brady'ego opowiadała, że syn jej całą noc spał w domu, było bajką, przez nią wymyśloną, bo gdyby tak było w istocie, to Brady nie byłby od razu przyszedł na myśl, że krytyczną noc spędził w parku Madison. Prawdopodobnie więc należał on do tych opryszków, którzy naszli Haniera wczoraj wieczór i chociaż może sam nie był mordercą, to jednak musiał wiedzieć, kto nim był.

Właśnie miała komisya sądowo lekarska dokonać oględzin zwłok Haniera, kiedy pani Brady powtórnie zgłosiła się do komisarza, prowadzącego śledztwo w tej sprawie. Zapewniała komisarza, że jest najmocniej przekonana, iż jej syn jest niewinny, a w końcu oświadczyła, że poprzednie jej zeznanie, jakoby jej syn spał był tej nocy w domu, jest zmyślane. Przerażona tem, co się stało, więcej z przestachu aniżeli z chęci uniewinnienia skłamała, ale sumienie nie dało jej spokoju.

Nie wiem, gdzie syn mój noc tę przepędził — kończyła — ale jestem przekonana, że on nie jest zbrodniarzem. Niemam na to dowodów innych, oprócz tego, że znam jego charakter i jego serce.

Komisarz, człowiek litościwy, znalazł się wskutek tego zeznania w przykrem położeniu. Pani Brady nie tylko, że pogorszyła znacznie swym zeznaniem sprawę syna, ale sama stała się podejrzaną i właściwie powinien by ją być zaaresztować.

Kiedy jej o tem powiedział, nieszczęśliwa kobieta straciła poprostu głowę. Z dalszych jej zeznań okazało się, że ma w domu śmiertelnie chorą córkę, która niema innej opieki prócz niej. Cóżby się z tą chorą stało, gdyby brat i matka zostali zamknięci? Komisarz pozwolił więc pani Brady wrócić do domu, ale w każdym razie rozciągnął nad nią nadzór policyjny.

Przy oględzinach zwłok przekonano się, że kule przeszła Hanierowi serce i utkwiała aż w ramieniu, skąd ją wyjęto, zważono i zbadano. Była ta kula widocznie z rewolweru 32 kalibru. Ślimak, który był przy tem obecny, obserwował ją bardzo starannie.

— Gdyby ta kula umiała mówić — myślał — co by nam powiedziała? Czy nie pociągnęłaby za sobą śmierci Brady'ego, tak, jak pociągnęła śmierć Haniera?

Śledztwo policyjne toczyło się tymczasem bardzo szybko. Komisarz przesłuchiwał co chwila nowych świadków a byli między nim: również obydwaj Francuzi, którzy podejrzewali Brady'ego o spełnienie zbrodni i zeznali stanowczo, że Brady należał do owej szajki, która usiłowała dzień przedtem okraść Haniera. Chociaż jednak ich zeznania potwie dła kilku świadków, o winie Brady'ego nie można było mieć pewności, bo Brady powołał również szereg świadków, między nimi sześciu ludzi nieposzlakowanych, którzy potwierdzili jego zeznania i w ten sposób wykazali jego alibi tak jasno, że w tej sprawie nie było już cienia wątpliwości co do niewinności Brady'ego, który też został zaraz wypuszczony na wolną stopę.

W pół godziny potem udał się Ślimak szybkim krokiem do dyrekcyi policji. Był ogromnie ucieszony, oczy mu błyszczały radością, widocznie miał jakąś ważną nowinę.

O ile pokój, w którym się mieściło główne biuro tajnej policji nowojorskiej robił zawsze, dzięki opisanym poprzednio szafom, pełne grozy wrażenie, o tyle strasznie wprost wyglądał w nocy, kiedy naokół panowała ciemność i milczenie. Ponure obrazy zbrodniarzy, wiszące na ścianach, zdawały się szeptać między sobą o popełnionych zbrodniach; przy blasku gorejącej lampy można było widzieć na starych sztyletach i nożach żółtawe plamy, ślady krwi ludzkiej. Gdzie tylko wzrok padł, wszędzie napotykał na pamiątkę jakiejś okrutnej zbrodni, albo strasznej tajemnicy. Jeżeli gdziekolwiek w Nowym Jorku błądziły upiory i duchy, to musiały chyba w tym pokoju błądzić najczęściej; był to najlepszy punkt zborny dla wszelkich duchów piekła i zła.

W noc noworoczną chodził po tym nieprzyjemnym gmachu samotny jakiś człowiek. Chodziło o zbadanie najnowszej tajemnicy; wyteżył więc całą siłę przypuszczeń i przebiegłości oraz swego doświadczenia, aby przebić ciemności, które otaczały tę tajemnicę bardziej, aniżeli grób ofiary — miał rozjaśnić sprawę, którą mu ubiegły rok pozostawił.

Na biurku leżały najrozmaitsze, przez tajnych agentów zebrane notatki w sprawie zamordowania Ludwika Haniera, między niemi kilkanaście wy-